



Arkadiusz Kopański
Kraków, 2025

Mój Jedwabny Szlak

- część 1

Zachęcony przez sifu Józefa Szarguta do publikacji opisu moich hongkońskich przygód pozwałam sobie na ów nieco przydługi tekst, mam nadzieję, że w miarę wartko i dowcipnie napisany. Wierzę w sens podobnej platformy wymiany myśli oraz doświadczeń, w końcu każdy ma sobie tylko właściwą drogę do przebycia, a zgromadzonych na niej wrażeń nie sposób pomylić z innymi. Może zatem moje perypetie na Jedwabnym Szlaku posłużą w celu, w jakim platforma yongchunquan.eu powstała: nic przecież nie zbliża ludzi bardziej niż wspólne zainteresowania i dobra zabawa, o co w dzisiejszym, coraz bardziej skonfliktowanym świecie niełatwo. Zatem - życzę miłej, ciekawej, roześmianej lektury!

Moja pierwsza wizyta w Hongkongu, podczas której poznałem sifu Alexa, miała miejsce w 2009 roku. Skąd się w 2009 roku w Hongkongu wzięłem? Ano na wskutek rozmowy przeprowadzonej kilka miesięcy wcześniej z sifu Georgijem Kuzminem we Lwowie.

Georgij, wówczas szef Ukraińskiej Federacji Wing Chun i Jeet Kun Do, niebywale zaimponował mi wiedzą. Zjeździł kawał Azji w poszukiwaniu legendarnych mistrzów systemu; odszukał uczniów Ngyuen Te Conga w Wietnamie, poznał Sum Nunga i został przyjęty do jego szkoły. Chu Shong Tin, podczas seminarium w Amsterdamie, po chwili zawahania (zdecydował pobłażliwym skinieniem głowy Yip Chun, wraz z Wang Kiu i Wong Shun Leungiem również obecnymi na tym seminarium), napisał na podsuniętej nieśmiało kartce Georgijowi swój hongkoński adres - kurczę, u „Króla Siu Lim Tao” ćwiczył również!

Słuchałem tego wszystkiego z wypiekami na twarzy, siedząc obok Georgija przy ognisku w dzikim parku na ulicy Zielonej we Lwowie i czułem jak przewracają się kręgle w mojej głowie. A miałem je całkiem ładnie poustawiane. Trenowałem wówczas od parunastu lat Wing Chun Tradycyjne pochodzące od GM Williama Cheunga, posiadałem wysoki stopień instruktorski, kwestię wyboru jedynej właściwej odmiany stylu rozstrzygnąłem już dawno, zdawało się, iż nie zostało nic więcej, niż zakończyć poznanie całego systemu końcowym egzaminem w Paryżu i - i właśnie co ... pytanie nie opuszczające mnie od kilku co najmniej lat. Stąd zresztą ówczesna wizyta we Lwowie.

Mój przyjaciel Nikołai Plyaskin organizował wtedy cykliczne seminaria swojego nauczyciela Chen Taijiquan, mieszkającego od jakiegoś czasu w Węgrzech mistrza Han Kui Yuana, na które przyjeżdżałem z zapałem, jakiego Wing Chun Tradycyjne od dawna już mi nie dostarczało. Usiłowałem ten niedosyt nazwać, lecz znajdowałem tylko jedną formułę: brak wnętrza. Jakbym ćwiczył wydrążone, pozbawione esencji sekwencje ruchów. Osobliwie ogarniało mnie to uczucie pustki, gdy obserwowałem demonstrującego techniki mistrza Hana. Starszy, siwy pan z tysinką poruszał się inaczej niż ja - zupełnie inaczej. Coś powodowało, że zanim uniósł rękę lub nogę, przez jego ciało przepływała jakby sugestia tego ruchu. Z czego ruch naprawdę wynikał - nie potrafiłem dociec; wszak wiedziałem, że idzie o element daremnie przeze mnie naśladowany, którego istoty przez powtórzenia sekwencji nigdy nie pojmę. Była w mistrzu Hanie siła, jakiej nie odnajdywałem w Wing Chun Tradycyjnym, gdyż po prostu jej tam nie było. Gdy podzieliłem się tymi wątpliwościami z Georgijem - noc, ognisko i alkohol błyskawicznie skracali dystans - ten nachyliwszy się ku mnie powiedział: bo to co robisz, to nie Wing Chun. To fajne, dynamiczne, ale w Chinach nikt niczego podobnego nie ćwiczy.

A potem długo w noc słuchałem opowieści o jego pierwszych doświadczeniach z mistrzami Sum Nungiem i Chu Shong Tinem. O niezwyklej energii generowanej przez tego ostatniego, co w kontraście do niemalże anemicznej sylwetki robi wrażenie magii, rzeczy fizycznie niewytłumaczalnej. Georgij powiedział: tam w Amsterdamie, na seminarium przyszedł olbrzymi

czarnoskóry mężczyzna. Mówili na niego Czarna Góra. Co najmniej 120 kilogramowy kulturysta, który chciał za wszelką cenę osobiście sprawdzić pogłoski o rzekomej sile kung fu. Rwał się więc do demonstracji. Dokładnie to widziałem, stałem blisko. Master Chu Shong Tin otwartą dłonią powstrzymywał każdy jego ruch, a on ślizgał się jak na lodowisku, gdy usiłował zatrzymać ruchy Mastera Chu. Facet stał potem w kącie sali z szeroko otwartymi ustami i przyglądał się swoim łapskom. Nie mógł uwierzyć w to co się stało, a jego koledzy pokładali się ze śmiechu.



Fot.1. Autor po prawej oraz sifu Ma Kee Fai, uczeń Chu Shong Tina oddelegowany do prowadzenia zajęć w Ving Tsun Athletic Association. Hongkong, 2010 r.

- I jak wygląda trening takiej siły u Chu Shong Tina? - zapytałem.
- Możesz do niego pojechać, żeby to sprawdzić. Napiszę ci po kantońsku polecenie.
- A ty nie mógłbyś mnie uczyć?
- Nie jestem mistrzem.
- Ale jak ja tam dojadę? Do Hongkongu?
- Samolotem!

Tak mniej więcej przebiegła nocą w 2008 roku, nasza rozmowa w parku przy ulicy Zielonej we Lwowie. Rozmowa, która miała zmienić w moim życiu bardzo wiele. Bo postanowiłem z tą wypisaną przez Georgija kartką polecieć do Hongkongu, sobie poprzewracane w głowie kręgle znowu ustawić, lub przynajmniej się na własnej skórze przekonać, że ustawić ich na powrót już nie sposób. Potem czas przyspieszył, miesiące biegły, biegałem zawzięcie i ja. Bilety nie okazały się takie znów drogie: około 2000 złotych w obie strony. Prowadziłem wtedy treningi wymagające dobrego przygotowania fizycznego oraz kondycji - nałożyłem sobie zatem podwojony reżim. Wiedziałem, że w gruncie rzeczy idzie o konfrontację. Że nie odpuszczę tych przećwiczonych lat tak łatwo - że Georgij niekoniecznie musi mieć rację i osiągnąwszy optymalną formę będę potrafił, jeżeli nie okazać się lepszym od studentów Chu Shong Tina, to na pewno nie kompromitująco gorszym. Wreszcie wyruszyłem w podróż.

Parunastogodzinny, męczący lot i miasto: jedno z najbardziej zadziwiających na świecie, w którym zakochałem się z miejsca, oszołomiony chłonąc je wszystkimi przebudzowanymi zmysłami. Hongkong jest zdumiewającym zjawiskiem, pisanie o nim nigdy dosyć; przecież przyjechałem tu ćwiczyć! Że sprawy przeważnie nie układają się według zamierzonego scenariusza - wiedziałem; nie wiedziałem za to wielu rzeczy innych. Chu Shong Tin toczył wtedy najważniejszą walkę swego życia - z rakiem. Mając świadomość niepewności wyniku zaprzestał przyjmowania nowych uczniów. To w ogóle interesujący aspekt w tamtejszych szkołach kung fu. Istnieją rzecz jasna szkoły komercyjne, z daleka już wabiące reklamami, w których ceremoniał przyjęcia sprowadza się do dokonania wpłaty określonej kwoty, a następnie zakupu koszulki, lecz istnieją również szkoły zupełnie inne, nie przyjmujące z tzw. ulicy. Georgij miał farta, otrzymując od mistrza Chu prywatny adres, zwykle bez rekomendacji nie jest to możliwe.

Ja, przyjechawszy z kraju, o którym tutaj nikt wcześniej nie słyszał, za jedyny uwierzytelniający dokument posiadający kartkę z kilkunastoma kantońskimi ideogramami, w dodatku ćwiczący stylową hybrydę, jakiej miejscowi praktycy nie mogli się nadziwić - miałem farta jeszcze większego. Syn mistrza skierował mnie do Ving Tsun Athletic Association, gdzie prowadził zajęcia jeden z najbardziej zaawansowanych uczniów Chu Shong Tina - sifu Ma Kee Fai.



Fot.2-3. Na zdjęciu powyżej, autor i sifu John Kaufman, Amerykanin, z którym się zaprzyjaźniłem i który bardzo mi pomagał w najwcześniejszym okresie hongkońskim. Był uczniem Marty Andersona, pierwszego białego człowieka uczącego się Wing Chun w Hongkongu.

Na zdjęciu poniżej, dom, a dokładnie duży pokój w mieszkaniu sifu Alexa.

Zdjęcia wykonano w Hongkongu w 2010 roku.

Teraz zdaję sobie sprawę z uprzejmości i życzliwości tych ludzi, którzy mogli pokazać mi drzwi i je za mną zamknąć, wtedy jednak odebrałem to jako klęskę. To ja lecę przez połowę świata, wydaję wszystkie uciulane grosze, a ci mnie przerzucają z ręki do ręki jak gorącego kartofla!? Nie wiedziałem, iż to dopiero początek ostrugiwania mnie z arogancji, że Hongkong i jego rezolutni mieszkańcy dopiero się rozkręcają.

Poszedłem tedy pod wskazany adres, znalazłem w jego pobliżu hotel - tylko święci anieli pańscy znają sekrety moich z hotelami perypetii, opowiem tylko jedną: wchodzę do dziwnego budynku z długimi korytarzami, pod stopami puszysty dywan, na ścianach ładne kinkiety, myślę: dobrze jest! Oby tylko było niedrogo. Wychodzi ku mnie uśmiechnięta, ładniutka Azjatka, ja uśmiech sążnście odwzajemniam, pytam o możliwość wynajęcia pokoju - ależ owszem, bardzo proszę - bo na cały miesiąc bym chciał, dodaję, ściągając z przepoconego ciała plecak, a wtedy ładniutka Azjatka zgina się w pół ze śmiechu, zza zastoniętych dłońmi ust dobiega do mnie: mister, here is a love hotel ...

Po zaznaniu wielu jeszcze innych cudacznych upokorzeń, ląduję wreszcie na sali Ving Tsun Athletic Association. Zaczynam pierwszy trening. Tam również zadziwienia. Ma Kee Fai wita mnie krótko, z miejsca ustawia przed lustrem, nakazując stać w możliwie zrelaksowanej pozycji i trzymać nisko barki. Koryguje linię kręgosłupa i bioder, i odchodzi do swoich zajęć z innymi ćwiczącymi. To poważnie starsi mężczyźni, z których jeden pali

przy otwartym oknie papieroska, a drugi czyta gazetę. Na mnie nikt nie zwraca uwagi. Ot, ktoś wskazał mnie palcem, zaśmiał się; tyle. Mogę tylko patrzeć na ich chi sao, formy. Nie opuszcza mnie uczucie dziwności. Jakbym skądś to znał, gdzieś już widział. U mistrza Han Kui Yuana?

Po kilku identycznych dniach nagłe poruszenie: do sali wchodzi kilku białych mężczyzn, to instruktorzy z Australii, którzy oprócz praktyki u mistrza Chu znaleźli czas na odwiedzinę. Jeden z nich, dosyć korpulentny, z widoczną zadyszką, okazuje zainteresowanie moją zapuszczającą korpulentność postacią w kącie sali. Podchodzi, wita się, po dowcipnym zagajeniu proponuje małe chi sao. Nareszcie - myślę sobie - teraz im pokażę, dziadom! Tak oto, po nocnej rozmowie z Georgijem, nastąpiło drugie wydarzenie, które miało w moim życiu zmienić bardzo wiele. Ręce owego korpulentnego pana z zadyszką - wtedy pojęcia nie miałem, że ćwiczę z Tonym Psailą, człowiekiem o spektakularnych umiejętnościach w Wing Chun (na dodatek astmatykiem ...) - nie były szybkie ani silne. Daremnie usiłowałem znaleźć dla nich przymiotniki. Kontakt z nimi powodował, że momentalnie traciłem równowagę, pomimo iż ich dotknięcie było delikatne, ledwo odczuwalne.

Coś mnie podnosiło, przestawiało z miejsca na miejsce, w którym Tony Psaila zechciał, abym się znalazł, a ja nie potrafiłem się temu czemuś przeciwstawić. Trwało to pięć minut? Sześć?

Człowiek używający wszelkich dostępnych sobie możliwości oporu, będący bezsilnym przedmiotem zabawy swawolnego grubaska, długo podobnej sytuacji nie zdzierży. Szczególnie fizycznie. Siedziałem więc po owych pięciu, sześciu minutach zlany potem, łapiąc oddech, na granicy wylewu krwi do mózgu, a Tony Psaila robił chi sao z następnym ćwiczącym. I jeszcze z następnym. Swobodnie przy tym rozmawiając i żartując! Raptem zrozumiałem, jaka w tych niepozornie wyglądających ruchach tkwi moc. Doświadczyłem i zrozumiałem. W każdej chwili zrobiłbym więcej pompek na kościach niż każdy z tutaj obecnych. Wygrałbym z nimi sprint na 100 metrów, lub maratoński bieg. Do nieprzytomności zamęczyłbym podczas intensywniejszej rozgrzewki. Jednak w walce wręcz nie miałem najmniejszych szans ... Byłem zwykłym osiłkiem próbującym przeciwstawić się sile nazbyt subtelnej wobec jego pojęć. Samochwała w kącie stała. Ba! Siedziała ledwo żywa, wystawiona na kpiny ludzi, z których większość nie sięgała jej do ramion. Niemniej - coś się w ich podejściu do mnie po tym zdarzeniu zmieniło.

Sifu Ma Kee Fai i spółka odkryli - to kolejny ciekawy rys Azjatów, przez dziesiątki lat traktowanych wszak przez białych kolonizatorów jako tania siła robocza - że jestem wymarzoną obiektem do wykazywania wyższości ich sztuki nad fizyczną tężyzną. Tak oto, oprócz kilkugodzinnego stania przed lustrem ze ściągniętymi w dół barkami, doszła mi nowa funkcja: terapeutę postkolonialnych kompleksów. Co raz podchodzili do mnie chętni konfrontacji zawodnicy, by po kilku - czasami już i dziesięciu - minutach z uśmiechem wyższości spoglądać na moją dogorywającą na ławce, umordowaną nadludzkim wysiłkiem postać.

Okazało się, że dysponuję czymś na kształt przedśmiertnej vis comica, nadzwyczaj dobrze wpływającej na samopoczucie Hongkończyków; zupełnie nie tak wyobrażałem sobie nasze interakcje ... Niemniej - lody stopniowo topniały, jestem człowiekiem z natury skłonny do śmiechu, natrząsanie się z samego siebie szybko weszło mi w zwyczaj, na co spoglądano z życzliwością. Współćwiczący teraz częściej poprawiali moje błędy, starali się ustawiać właściwe kąty ruchów, uczyć korzystania z kręgosłupa, wpajać zupełnie inne zachowania.

Nie zapomnę jak pokazałem im drugą formę Wing Chun Tradycyjnego - Chum Kiu. Długo po tym kręcili głowami i debatowali; jeden zapytał: więc wy w Polsce nazywacie to kung fu? Zaczynałem budzić powszechne współczucie: nie dość, że byłem upośledzony ruchowo, to jeszcze nieszczeniwy. Gdyby do siedziby Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” zawitał mieszkaniec afrykańskiej dżungli i zademonstrował oberka lub polkę - galopkę, zapewne spotkałby się z podobnymi reakcjami. Do tego podczas moich porannych lektur w pobliskim parku pogryzły mnie po łydkach jakieś muszki - ponieważ zauważyłem, że tylko ja chodzę tam w krótkich spodenkach - i po nieprzespanej nocy poświęconej rozdrapywaniu niemiłosiernie swędzących bąbli, na treningu wyglądałem jak człowiek, który postanowił wymoczyć nogi w rzece pełnej piranii. Jeden ze starszych uczniów mistrza Chu następnego dnia przyniósł dla mnie maść, z miejsca uśmierającą swędzenie. Stałem się zatem lokalnym dzieckiem specjalnej troski.

Treningi w Ving Tsun Athletic Association miały niezmienny kształt. Był to rodzaj nieformalnej ekspozytury szkoły Chu Shong Tina, do której przychodziło się towarzysko, na pogawędkę, praktykę Siu Nim Tao lub „lepkich rąk”. Dla ludzi, którzy z powodu obowiązków zawodowych lub braku czasu nie mogli wziąć udziału w wieczornych zajęciach w „miejscu bazowym”, czyli mieszkaniu mistrza Chu, była to fajna alternatywa. Dla człowieka pragnącego poważnie uczyć się stylu - niekoniecznie. Cóż jednak miałem począć? Jakoś wtedy na każdym treningu stykałem się z Johnem Kaufmanem, jedynym oprócz mnie białym uczęszczającym do Association. John Kaufman to był gość! Prawnik z Ameryki tak zafascynowany siłą tkwiącą w Wing Chun, że zamknął dobrze prosperującą kancelarię, przeszedł na przedwczesną emeryturę (ach, te ich ichniejsze prywatne fundusze emerytalne...) i zamieszkał w Hongkongu, aby uczyć się u źródeł. Znalazł we mnie wiecznie głodnego wiedzy ziomka, z którym skwapliwie dzielił się dokonanymi odkryciami.



Fot.4. Pamiątkowe zdjęcie po treningu u sifu Alexa. Obok niego stoi małżonka Kitty, którą żartobliwie tytułowałem Grandmaster. Teraz wszyscy mówią na nią Grandmaster Kitty ...

Trenowaliśmy w parkach lub na dachu wynajętego przez Johna mieszkania, bywali tam również ludzie zainteresowani Wing Chun, dla jakich z różnych przyczyn zabrakło miejsca u sifu Ma Kee Fai, o mistrzu Chu nie wspominając. Ćwicząc z nimi zauważyłem u siebie maleńki, ale jednak - progres. Pomyślałem również, że nie ma wielkiej tragedii: z przygodami, bez oczekiwanej pełnej satysfakcji, lecz przecież każdego dnia praktykuję system, dla którego odbyłem tę szaloną podróż. Pomału zacząłem również rozpoznawać twarze moich dobronnych prześmiewców z Ving Tsun Athletic Association, początkowo zlewające się w jeden standardowy azjatycki fizys.

Często dostrzegałem niewysokiego pana w bejsbolowej czapce i koszulce bez rękawów. Był, jak na hongkońskie temperamenty, małowówny i uważny. Nigdy nie widziałem, żeby robił Siu Nim Tao, natomiast ochoczo reagował na propozycje chi sao. Wstawał wtedy z krzesła, ściągał bejsbolową czapkę i zaczynał żuć gumę. Ponieważ byłem już ośmielony do bardziej brawurowych czynów - co rusz wyzywałem na pojedynki samego sifu Ma, na co ten reagował z ironicznym uśmieszkiem, by następnie miażdżyć mnie bezlitośnie z siłą małego czołgu - podszedłem doń i poprosiłem o możliwość chi sao. Mężczyzna zdjął bejsbolową czapeczkę, włożył do ust gumę do żucia i powiedział, że ma na imię Alex. Po czym zapytał o moje imię i skrzyżowaliśmy ręce.

Tak właśnie w 2009 roku poznałem sifu Alexa, mojego od 14 lat hongkońskiego nauczyciela. Ciąg dalszy nastąpi ...